



KOBIETA RODZI SIĘ AKTORKĄ

Rozmowa z ELŻBIETĄ KĘPIŃSKĄ
i WŁADYSŁAWEM KOWALSKIM

Fot. RENATA PAJCHEL

— Czy aktorstwo to zajęcie dla pań czy dla panów?

WŁADYSŁAW KOWALSKI: Wydaje mi się, że jest to naturalny zawód dla kobiety, w jej naturze tkwi bowiem potrzeba udawania, grania, przebierania się, stawiania się ciągle kimś innym.

ELŻBIETA KĘPIŃSKA: Być może, iż ten zawód jest jakby bliższy psychicznie kobiety, przede wszystkim dlatego, że potrafi ona łatwiej się obnażyć wewnętrznie niż mężczyzna. Poza tym kobieta ma wrodzoną umiejętność przystosowywania się do sytuacji. „Gra” nawet wtedy, gdy sobie z tego nie zdaje sprawy: jej rolę to matka, żona, powiernica, kochanka, opiekunka, pani domu... można wymieniać bez końca. A przecież to wszystko wymaga nie tylko umiejętności postępowania, dyplomacji, ale po prostu wcielania się ciągle w inną postać.

— A więc kobiety już przez naturę obdarowane aktorskim talentem łatwiej powinny w zawodowym życiu osiągać sukces.

W.K.: Jest charakterystyczne, że przy egzaminach do szkoły aktorskiej i w czasie studiów na

pierwszym roku dziewczęta osiągały na ogół znacznie lepsze wyniki niż chłopcy. W trakcie studiów te różnice się wyrównują, a nawet chłopcy po pewnym okresie wypadają lepiej. Tłumaczyć to można tym, że dziewczęta są już od razu niejako uformowane aktorsko, chłopcy natomiast po prostu się tego uczą.

— Z tego wniosek, że aktorkom jest łatwiej.

W.K.: Chyba nie. Życie zawodowe jest bardziej okrutne dla kobiet niż dla mężczyzn, zwłaszcza w teatrze, bo jest dla nich mniej ról.

E.K.: Na dobrą sprawę wielu dramaturdzy, myśliciele, filozofowie uważają, że dowodzić wszelkich prawd jest łatwiej na przykładzie mężczyzny. Może jeden Szekspir był łaskaw dla kobiet. W jego sztukach nie brakuje ról dla aktorek.

— Więc mimo sprzyjających warunków naturalnych, sukces nie przychodzi paniom łatwo.

E.K.: Chyba tak, a to m. in. i dlatego, że kobieta rzadko dla kariery poświęci sprawy swoich najbliższych. Mężczyźni są bardziej egoistyczni. Ciekawe, że

mężczyzna potrafi przewodzić narodowi, ale nie umie np. wychować własnego dziecka. Zresztą znana to prawda, że dla mężczyzny najważniejsze są jego osiągnięcia, dla nas zaś chyba rodzina.

W zawodzie aktorskim trzeba zdobyć się na odporność psychiczną, wtedy gdy osiągamy sukces, jak i wtedy, gdy spotyka nas klęska. Łatwo bowiem stracić równowagę. Krytycy często zbyt pochopnie są skłonni zarówno do zachwytów, jak i do lekceważenia. A to, wbrew pozorom, urabia opinię środowiska, którego presję trudno jest wytrzymać. I kreowanie na znakomitość, i druzgocąca krytyka rzadko mają dla aktora pozytywne skutki. Aktorstwo jest właściwie sztuką trudno wymierną. Jego efekt trwa chwilę, ulatnia się, gdy schodzimy ze sceny.

Każdą nową rolą musimy udowodnić, że jesteśmy niezłymi aktorami. Wydaje mi się, że po latach udowadniania i zdobycia jakiegos uznania możemy mieć prawo do ryzyka, do eksperymentu. I dobrze by było, by krytyka umiała to oddzielić od autentycznej klęski, by umiała też oddzielić zamysł aktora od za-

mysłu reżysera, od samej sztuki. Może zresztą my, aktorzy, przeceniamy swą rolę. Może jesteśmy jednym z elementów i mamy tyle miejsca, na ile zasługujemy. To, że się czujemy niedoceniani, jest chyba naturalne. Jest sporo goryczy w tym, co mówimy o krytyce, ale po naszej sztuce pozostaje tylko to, co o nas napiszą. Oczywiście mówię o pracy w teatrze.

— Istotnie, krytyka często szkodliwym frazesem kwituje rolę, cały twórczy wysiłek aktora. Ale przecież jest jeszcze, a nawet przede wszystkim, publiczność. To dla niej odbywa się ministerium na scenie.

W.K.: Tak. Publiczność jest najważniejsza, przejmujemy się czy też cieszymy jakiś czas tym, co o nas napisano, ale jesteśmy z publicznością i jesteśmy dla niej.

E.K.: Trudno o sprawdzenie efektu swej pracy w telewizji czy w filmie. Natomiast reakcję publiczności teatralnej daje się odczuć natychmiast. Na gramy „Szewców” Witkacego — sztukę piekielnie trudną, mało komunikatywną. Krytyka spektakl oceniła raczej chłodno. I tu zaskoczenie: „Szewców” gramy już po raz 130 i przez wszystkie przedstawienia przy nabitej po brzegi sa-



li. Nie dziwilibyśmy się, gdyby to była jakaś komedia czy farsa, ale że sztuka o takim ładunku filozoficznym jest odbierana tak masowo, to naprawdę coś w tym musi być. Jest to przede wszystkim nieprawdopodobny sukces Witkacego. Jego, zdawałoby się, hermetyczna sztuka dociera do najszerszego kręgu publiczności. Nie wierzyłam, że to jest rola dla mnie, dopiero po kilkunastu spektaklach zaczęła opadać ze mnie trema. I dziś każdy wieczór na scenie w „Szewcach” jest dla mnie niebywałą frajdą.

— Mówimy o teatrze, a przecież aktorstwo uprawiane też jest w telewizji i w filmie.

E. K.: Wydaje mi się, że wspinałość teatru polega także i na tym, iż każdego wieczoru dzieje się coś innego, każdy z nas, aktorów, wnosi na scenę багаż przeżyć całego dnia. Mimo że wciela się w sceniczną postać, nie może wymazać gumką wszystkiego, co przeżył. Każdego też wieczoru publiczność jest różna. Ona jest również współautorem spektaklu: albo podcina nam nogi, albo dodaje skrzydeł. Ta codzienna inność nas samych i publiczność

ci tworzy nową jakość przedstawienia.

Inaczej jest w telewizji. Tam aktor czuje się zdominowany przez technikę: światła, kamery, kadry — to się liczy przede wszystkim. Już znacznie bardziej wolę film.

W. K.: Mam trochę inne zdanie o telewizji. Zresztą bardzo lubię pracować zarówno w filmie, jak i w TV. Ale w teatrze mogę wziąć odpowiedzialność za efekt swojej pracy. W telewizji i w filmie dochodzi technika, na którą nie mam wpływu i rzadko mi się zdarza, by rola, którą gram, wypadła tak, jak sobie umyśliłem, choć wkładam w nią olbrzymią pracę.

E. K.: Może dlatego, że nieczęsto występuję w TV obrastam w lęk i kompleksy, a to pewnie sprawia, że rzadko tam występuję. Słowem — błędne koło.

W. K.: W filmie i telewizji jest technika plus człowiek. W teatrze zaś tylko sam człowiek. I właśnie dlatego jest to najbardziej frapujące.

— Podobno nawet największa odporność psychiczna aktora nie chroni go przed tremą. Jak dalece państwo jej ulegacie?

W. K.: Ja mam największą trema przez pierwsze parę przedstawień. Natomiast żony ona nigdy nie opuszcza. Każda godzina spektaklu to dla niej walka z tremą. Ale publiczność tego nie zauważa. Są dwa rodzaje tremy, paraliżująca i twórcza, i ta druga wydaje mi się potrzebna.

— Imponuje mi umiejętność opanowywania nie tylko tremy, ale bólu czy złego samopoczucia. Aktorzy nader rzadko korzystają ze zwolnień lekarskich. Nie spóźniają się do pracy, nie opuszczają jej. Jest w tym trochę specyfiki zawodu, ale przecież nie tylko.

W. K.: Jest to wynikiem samodyscypliny i przede wszystkim poczucia olbrzymiej odpowiedzialności wobec publiczności. Rzadko się zdarza u ludzi innych zawodów, by pracowali, gdy są naprawdę chorzy lub w dniu największych nieszczęść osobistych, co w naszym zawodzie uważa się właściwie za naturalne. Gdyby wszyscy byli tak obowiązkowi, pracowali z takim poczuciem odpowiedzialności, byłibyśmy krajem miodem i mlekiem płynącym.

— Czy uprawianie przez oboje mał-

żonków tego specyficznego przeciwzawodu pomaga im w pracy, czy ma wpływ na ich życie prywatne?

W. K.: I tak, i nie.

E. K.: Ja też tak uważam.

W. K.: Na początku, gdy się jeszcze bardzo emocjonalnie przeżywa każdy krok zrobiony w tym zawodzie, chce się ciągle o tym mówić, dzielić uwagami z najbliższymi. Ale po kilkunastu latach, po licznych rozczarowaniach, gdy nabiera się trochę rutyny i dystansu, istnieje potrzeba oderwania się od tych problemów.

E. K.: W dodatku niedobrze, że jesteśmy w tym samym teatrze. Siłą rzeczy sprawy zawodowe przenoszą się na teren domu.

W. K.: Ale na próbach jest cudownie.

E. K.: Nikt tak nie umie mi pomóc jak mąż.

W. K.: Nikt nigdy nie był dla mnie tak surowym i tak obiektywnym sędzią jak żona.

Bo któż nas tak dobrze zna jak my siebie.

Rozmawiała
MARYLA CHUDZYŃSKA